

POWIEŚĆ i NOWELA

ZYGMUNT KISIELEWSKI

NOC LISTOPADOWA

Poniżej podajemy wyjątek z ostatniej powieści Z. Kisielewskiego, wydanej staraniem Domu Książki Polskiej.

W „Dniach listopadowych” przybrywa do olbrzymiej już dziś literatury, poświęconej tworzeniu się Polski Wolnej, jeszcze jedna powieść. „Dni listopadowe” oparte ściśle na historii, przemawiają do czytelnika gorącym uczuciem i głębią wyrazu.

II.

Nazajutrz Rymsha pośpiesznie jadł śniadanie, aby jak najprędzej znaleźć się w biurze, zabezpieczając go przed trującym czadem zgryzoty. Trudno było ten wojenny, a raczej okupacyjny chleb przełknąć, ale miażdżył go mocnymi szczękami kęs po kęsie i łykał szybko. Pod koniec śniadania pani Zofja weszła do gabinetu.

— Mój Boże — zaczęła biadolić — zapomnieliśmy już, jak wygląda bułeczka.

— Hm — mruknął.

— Możebyś, Józiu, zapytał w biurze Jana, czy by gdzie nie dostał choćby kilo mąki pszennej. Jadzia mi chudnie, Adaś wygląda coraz gorzej. Nie mówię już o sobie, ja już krzyżyk postawiłam nad sobą.

— Za prędko — przeciał mąż.

— Kiedy się to wszystko naprawdę skończy? Dłużej już chyba nie wytrzymamy.

— Wytrzymamy.

— Ty zawsze tak, Józiu, — westchnęła, marszcząc zatroskane czoło. — Codzień proszę Boga, żeby się to skończyło.

— Już się kończy.

— Na początku wojny ludzie mówili, że parę miesięcy, a to już piąty rok. Teraz też mówią, ale co tam ludzie wiedzą. Ot, pocieszają się i tyle. Dalby Bóg. Już idziesz? A nie zapomnij, Józiu, z tym Janem, Józiu... Może z funcik...

— Dobrze. Bądź zdrowa. Dzieci już poszły?

— Powłokły się biedactwa. Słyszałeś? — Strzelają... ach! mój Boże...

Istotnie od strony ulicy zagrzniały stłumione, szerokie odgłosy strzałów karabinowych.

Rymsha wyprostował się i wrzucił na siebie palto.

— Idziesz? Ależ, Józiu... jeszcze...

— Dowidzenia! — mruknął i zatrzęsł za sobą drzwi.

Na ulicy odetchnął. Świeżość poranna rozmiatała koszmara, jak wiatr rozpędza mgły. Świeciło przymglone słońce listopadowego dnia. Szedł energicznie, układając w głowie plan zajęć biurowych.

Wejdzie, rozbierze się, odworzy kasę, sprawdzi ilość gotówki z dnia wczorajszego. Uśmiechnął się drwiąco na wyraz „gotówka”. Jeszcze raz przeliczył obrót kasowy i przez Jana prześle dyrektorowi. A — ten funcik słoniny! Jaka ta Zosia, swoją drogą. Nie nie rozumie. Wojna, to wojna. Byli przecież wojny trzydziestoletnie, a nawet stuletnie. Hm... wygląda na to, że koniec. Garnizon niemiecki buntuje się. Rozejrzał się po ulicy. Jakos dziwnie mało ludzi. Naprężona cisza, niepokojąca cisza wielkiego miasta, w której mocno rozlegał się stukot drewnianych chodaków, zastępujących ludziom skórzane obuwie.

Wchodząc w aleje Jerozolimskie, rozglądał się badawczo. W pobliżu Nowego Świata zatrzymał się wóz tramwajowy i ludzie pędzili w tę stronę. Coś musiało się stać. Wtem buchnął strzał i gapię rozprysnęli się na wszystkie strony. W tej chwili ujrzał z nadzwyczajną dokładnością scenę, która z oszałamiającą szybkością rozgrywała się tuż obok niego.

W kierunku Kruczej szedł z przeciwnej strony alei oficer niemiecki. Gdy znalazł się przy chodniku, zbliżyło się do niego dwóch chłopaków uzbrojonych w karabiny. Jeden z nich, chudy, wysoki, miał na głowie maciejówkę, drugi, znacznie niższy, czapkę uczniowską. Chłopcy zatarasowali drogę oficerowi. Wyglądało to tak, jakby go zamierzali zapytać np. „Która godzina?” Naraz oficer od jednego rozmachu pechnął chłopaka w czapkę uczniowskiej z taką siłą, że ten stracił równowagę i zatoczył się w rynsztok. Oficer, korzystając z chwilowego zdumienia chudzielca w maciejówce, jął gorączkowo wyciągać z futerału rewolwer. „Jezus Marja! zastrzeli go!” — krzyknął Rymsha do siebie. W tej samej chwili doznał takiego uczucia, jakby chwycił za przewodnik elektryczny. Przeleciały po nim iskry. Skoczył i, kiedy oficer już nastawił rewolwer do strzału, złapał go za rękę w przegubie i ścisnął ją potężnie. Z najtajniejszego ośrodka jaźni wytrysnął ciepły strumień i falą błogości rozplynał się po ciele, napelniając świadomość blaskiem nieznanego szczęścia i triumfu. Z dreszczem rozkoszy wykręcał ramię oficera w tył. A! — zacharczał Niemiec i rewolwer wypadł mu

z ręki. — Usta zagrożonego chłopaka ścięły się, szczęki zacisnęły i już ostrze bagnetu dotykało piersi Niemca. Drugi chłopak już zerwał się z ziemi i obu rękami przypiął się kureczowo do ramienia oficera. Twarz Niemca drgnęła z bólu i wściekłości, a zęby błysnęły z pomiędzy warg.

— Poddajesz się, cholero! — piskliwie wrzasnął wyższy chłopak.

Oczy Rymszy płonęły. Coraz mocniej, z laskoczącą lubieżą w nerwach wykręcał ramię oficera.

— *Lass doch, ich bin officier* — tylko officer oddać.

— Jest officer — szydził chłopak, lypiąc okiem na Rymszę. — Poddaj się, bo zakłuję jak wieprza.

Już otoczył ich tłum, trzymający się zresztą w bezpiecznej odległości.

— Lu go w tramwaj!

— Wołaj Beselera na pomoc!

— Tłusty wieprz! Upaśł się na polskiej kietbasie.

Officer wreszcie uległ i zawołał: — Ja!

Chłopak opuścił bagnety i podniósł z ziemi rewolwer.

— Szabla! — krzyknął. — Puście go, obywatelu — skinął na Rymszę.

Officer w nerwowym popłochu odpinał szablę. — Papiery! — rozkazał chłopak — legitymacje! Jarosz, obmacaj go, czy nie ukrył gdzie broni.

— Ehrenwort — wybelgotał Niemiec.

— Klawo — daj mu pokóci. — Teraz odprowadzimy pana kapitana do mieszkania, żeby go kto nie noturbował. Na bok! — obywatelu. Naprzód! Vorwärts! — panie *hauptmann* — zlekka trącił Niemca kolbą.

Ruszyli. Officer dreptał szybko, zapuściwszy daszek czapki na oczy. Za nim chłopcy z Rymszą.

— No, obywatelu, bez was jużbym pewnie ziemie gryzł. Dziękuję wam — odezwał się uratowany chłopak, sapiąc i zarzucając karabin na ramię. — Bestja szwab. Niema co, palnałem głupstwo. Trzeba było od razu igłę w niego. Władysław Żabiński, drugi pluton, baon warszawski P. O. W. — rekomendował się.

— Józef Rymsza.

— Skąd?

— Z Warszawy.

— Ale przydział.

— Jaki przydział?

— Słyszysz, Jarosz! — Żabiński zwrócił się do kolegi, który wyciągał krótkie nogi, aby nadażyć za ienecem. — Cywil nam pomógł.

— Nie spodziewałem się, wiesz. Tak mnie pchnął, a silny drań! — uniewinniał się Jarosz.

— Bo i poco rwiesz się do wojska, taki chrańszcz jak ty.

— To panowie w wojsku? — zainteresował się Rymsza.

— P. O. W. Ale już wyłazimy na wierzch. A pan kto?

— Urzędnik bankowy.

— Ja myślałem, że pan nasz, tylko, jak my, w cywilu. Wszystko jedno! Już pan zasłużył, aby pana przyjęli. Chodź pan z nami.

— Dokąd?

— Do naszej komendy. Trzeba zdać raport i nie wiem, co robić ze szwabem. Puściłbym go, ale w legitymacji stoi, że to *Prinz*. Może przyda się. Wiecie, że Beseler wsiąkł gdzieś tej nocy? Miał

węch, bobyśmy chłopca zafasowali jak polec sło-
niny.

Przechodnie przystawali na widok tej grupy. Coraz gęściej waliły z różnych stron strzały, nie płosząc zresztą nikogo. Na zbiedzonych twarzach jaśniała radość. Ludzie nieznani sobie przystawali, rozmawiali, wypytывali o niewiny, dysputowali. Tu i ówdzie przebiegały ulicą grupki pół-wojskowe, a milicjanci po raz pierwszy ukazali się z bronią krótką i z karabinami. Zrzadka przechadzały się grupy żołnierzy niemieckich bez broni, z czerwonymi — niektórzy z trójkolorowymi kokardkami na bluzach. Taka jedna grupa mijala aresztowanego oficera, ale żołnierze, odwróciwszy oczy, przeszli kpinkując z niego. Ktoś z przechodniów krzyknął do nich: „Vivat Alzacja!“, na co oni odpowiedzieli: „Hoch Polen!“ i „Vive la Pologne!“. Już przy dworcu przybłąkał się niewiadomo skąd żołnierz niemiecki w pełnym rynsztuku. Żabiński poleciał Rymszy pilnować jeńca, a sam z Jaroszem podszedł do żołnierza, który, jakby tylko na to czekał, w tej chwili oddał broń i odmaszerował rozpromieniony i wesół. Żabiński podał zdobyty karabin Rymszy, który sprawnym, żołnierskim ruchem zarzucił go sobie na ramię.

— Byliście, obywatelu, w wojsku? — zapytał Żabiński, któremu sposób bycia Rymszy imponował.

— Byłem.

— W jakim?

— W rosyjskim.

— Wróciliście teraz?

— Nie. Najpierw dekowałem się, a później, kiedy Niemcy mieli zająć Warszawę, ukryłem się.

— To z was morowiec, obywatelu. A potem siedzieliście w banku i nie?

— I nie.

— No, a teraz co będzie?

— Idę z wami.

— Morowiec.

Decyzja Rymszy wystrzeliła zeń, jak kula z nabitego karabinu, gdy pociągnął kurek. Czuł się jak człowiek, który po długich latach wyrwał się z więzienia. Rzęgładał się dokoła z podziwem i zdumieniem. Te domy i ulice, znane mu od dziecka, to niebo dzisiaj mleczno-niebieskie, te ogniste chłopaki, ten officer, on sam... Gdzież on się znalazł? Tajemny, upajający prąd wstrząsał światem i przepływał jednocześnie przez niego. Kamienice jakby spoglądały na niego i uśmiechały się do broduśnym pomrukiem murów. Płyty i bruki ugiwały się łaskawie pod naciskiem stopy i podnosiły ją same, jakby podbijając, że rach nie kosztował go najmniejszego wysiłku. Mógłby tak maszerować na koniec świata bez odpoczynku. Ale najdziwniej przedstawiali mu się ludzie, istoty jaśniejące, wulkany światła i energii, promieniejące jak słoneczne zjawy. Czy go kto urzeki? A może on nagłe oszalał? Ale nie. Ten czarujący świat miał o-blicze tak rzeczywiste, prawdziwe, niewątpliwe, jak on sam był dla siebie rzeczywistością. Wiedział przecie, że pod odpowiednim ruchem ręki karabin jego ustawi się w pozycji nakazanej przez jego wolę. Może, gdy zechce, powiedziec słowo i przeczuwa z góry, co mu na nie Żabiński odpowie. Jeżeli tego nie czyni, to tylko dlatego, że uważa to za rzecz zbędną, gdyż i tak czyta z oczu, z ust ludzkich, bez słów. Zresztą niczego właściwie wiedzieć

nie pragnie, bo wie wszystko. — Przenikała go niewzruszona pewność, że dostał się na właściwy tor, który go prowadzi tam, gdzie ma dojść, dokąd trzeba dojść. Jednego tylko nie pojmował, dlaczego dotąd, przez tyle, tyle czasu był ślepy i głuchy, spowity w grube powijaki niewiedzy. Ale tak samo mógłby zapytywać stokroć, której kielek przebił w marcu skorupę ziemi, dlaczego dotąd nie doznawała lubości pławienia się w słońcu i w świetle.

Tego tylko Rymsha nie pojmował, ale nie bolało go to, ani nie korciło, jak wczoraj. Jego twarz grubo ciosana, nieco zaokrąglone czoło, prosty nos, mocny podbródek, zdrowy, silnie związany korpus stanowiły jedność doskonałą z tą wiedzą wewnętrzną, pewną siebie, aż do nieomyślności. Nie było tu nad czym myśleć, coś rozplątywać, czemś męczyć się i dręczyć, ale musiało się płynąć w takt potężnego rytmu, którego czucie napełniało go szczęściem. Maszerował więc z Żabińskim i Jaroszem w łunie światła i siły. Oczy chłopców śmiały się ku Rymszy jak do starego, wypróbowanego kolegi. Przechodnie na widok tej gromadki zbrojnej, buchającej ogniem, uśmiechali się życzliwie, jak do przyjaciół.

Naraz od strony ogrodu Saskiego zawarczał samochód.

Rymsha skoczył na środek jezdni i wycełował w motor. Za nim pobiegli chłopcy wołać: stać! — stać! Szofer zahamował w miejscu. W samochodzie siedzieli dwóch oficerów niemieckich. Jeden z nich różowy, tłusty, o białych rżesach i malym nosku bezradnie patrzył na to, co się dzieje. Świeżutki, pulchnutki, wyglądał na *maitre'a d'hôtel*, przebranego w mundur. Drugi, kościsty, prężny, o wysokim, cienkim nosie, sypnął zielonemi iskierkami z oczu.

— Broń! — papiery! — krzyknął Rymsha, a chłopcy już ustawili się z obu stron auta.

Zwłasty oficer poderwał się i wyprostował, lecz zorientowawszy się w sytuacji, bez słowa wręczył Rymszy rewolwer. Tłum gromadził się. Grupa żołnierzy niemieckich z kokardkami przyglądała się akcji flegmatycznie.

— Wysiadać! — huknął Rymsha.

— A dokąd to panowie? — dopytywał Żabiński, wyciągając długą szyję.

— Ja *Spaziergang* — spacer — *jawohl* — piszczał tłuszcioch.

— A waliza? — rzeczowo wtracił Jarosz, zauważwszy kufer przyczepiony stylu.

Rymsha, sprawdzwszy legitymację, rzekł:

— No, to niech idą na spacer, puśćmy ich. To intendenci. A samochód i walizeczkę zatrzymamy.

I, nie czekając na odpowiedź Żabińskiego, machnął na Niemców ręką, dając im do poznania, że są wolni. Zaledwie oficerowie stanęli na chodniku, rzuciło się na nich paru żołnierzy niemieckich i zaczęło im zrywać odznaki.

Żabiński uradowany podniósł karabin w górę i strzelił „na vivat“.

— No siadać, panowie, siadać! — rozkazywał Rymsha. — Mamy auto.

— Pierwsze auto naszego baonu. Vivat Rymsha! — zawołał Żabiński, wpychając do środka aresztowanego „prinza“.

— Siadaj pan przy szoferze — zwrócił się Rymsha do Jarosza.

Motor zaterkotał. Chłopcy oszołomieni niezwykłymi wzruszeniami, po raz pierwszy siedząc w samochodzie i do tego w zdobycznym samochodzie, wpadli w szal radości. Żabiński zaintonował: „Książd mi zakazał...“ Śpiewka mu coś przypomniła, bo przerwał i nachyliwszy się, szeptem rzekł do Rymszy:

— Wiecie? — przyjeżdża dzisiaj. Były depe-sze.

— Kto?

— On!

— Piłsudski?

— Tak jest, Komendant. Telegrafowali, że dojechał już do Częstochowy. Wiecie, Niemcy takiego mają stracha przed nami, że Beseler zanim dał drapak, telefonował podobno do Berlina, aby natychmiast uwolnić Komendanta, bo inaczej my tu ich poszatkuje, jak główki kapusty!

Rymsha potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Co? — zdumiał się Żabiński.

— Posłuchajcie. On wam na to odpowie i zwrócił się do „prinza“, który siedział zasępiiony.

— Ilu was tu jest w Warszawie? — spytał. — Jeniec milczał.

— Rozumie mnie pan, czy nie, do diabła! — zgniewał się Rymsha. — Ile macie bagnatów w Warszawie? A mówić prawdę!

Żabiński otworzył usta z podziwu, słysząc, z jakim impetem Rymsha wpadł na Niemca.

— *Wieviel Soldaten?* — *verstehen?* — *in Warschau?* No. Gadać!

— *Zwölf tausend Mann.*

— Dwanaście tysięcy regularnego wojska, kulomioty, armaty. A my ile mamy? — pytał Rymsha.

Żabiński stropił się.

— My... my...

— Widzicie. Delikatna historia, trudna historia. Ale to nie. Najważniejszy rząd i organizacja.

— On to wszystko — On —

— No tak. On. Ale tymczasem należy baczyć na wszystko. Niemcy mogą w pół godziny miasto zbombardować i sterroryzować.

— Myślicie?

— To jasne.

Entuzjazm Żabińskiego przygasł. Zacerwienił się i wyrzwał Jarosza w plecy.

— Te, Jarosz, masz pietra, bo ja nie. Obywatel Rymsha zaś...

— Nie o to idzie, młodzi obywatele. W tem rzecz, aby im te armaty i te karabiny —

— Odebrać! To się robi, nie bójcie się, to się zrobi!

— Właśnie to trzeba zrobić.

Zajechali przed kamienicę, w której mieścił się lokal jeszcze do wczoraj zakonspirowany. Młodzi przeważnie ludzie wciąż wybiegali i wbiegali do bramy. Ktoś wpadł z karabinem na ramieniu. Przed domem gromadzili się gapie i młodzież rwąca się do wojska.

— Jarosz, pilnuj auta. Wy, obywatelu Rymsha, odprowadzicie ze mną „prinza“. Muszę was zapisać.

Weszli na drugie piętro do mieszkania prawie nieumeblowanego. Stoły, zawalone papierami, nad którymi siedzieli młodzi ludzie o rozpalonych twarzach i gorejących, podkrążonych z niewyspania oczach. W rogu wielkiego pokoju leżały stosy mun-

durów. Obok karabiny, ładownice, plecaki, bag-nety, pod nadzorem młodzieńca, który dobrze nie wiedział, co ma z tem bogactwem począć. Z drzwi prowadzących do następnych pokoi wychodzi-li ludzie, wywoływali głośno jakieś nazwiska, czy pseudonimy, inni szepotali między sobą po kątach. P. O. W. zaczęła się rozkonspirowywać i z wolna przystosowywać się do jawnej działalności.

Żabiński zniknął, a Rymśza, rozglądając się dokoła, stał na środku pokoju.

Jakiś młodzieniec zbliżył się do niego nieśmia-ło:

— Proszę pana, ja chcę się zapisać.

— Dobrze. Zaraz. Proszę poczekać — odpowie-dział mu.

Wziął z najbliższego stolika arkusz papieru, wypisał wielkimi literami: „Zgłoszenia ochotni-ków“, wyrwał ze ściany gwóźdź, podszedł do mło-dzieńca, który siedział nad kajetem oraz pieczęcia-mi, i przybił nad nim ogłoszenie.

Pisarz spojrzał na niego pytająco:

— Tu się przyjmuje ochotników, obywatelu? — zagadnął Rymśza.

— Tu.

— Właśnie.

Rymśza huknął:

— Kto na ochotnika — ogonek. Papiery. W porządeczku.

I z wolna zaczął się w ciżbie formować szereg młodych ludzi.

Rymśza natychmiast przygotował drugą kartę, na której wyrysował dużemi literami: „Intenden-tura“ i zamierzał ją przybić nad stołem sprzętu wojskowego, gdy zauważył tuż za małym koryta-rzykiem próżny pokój. Niewiele myśląc, zawołał na gromadkę, zebraną dokoła stosów ekwipun-ku:

— Obywatele! Brać to i zanosić do tego tam pokoju. Chodźcie, obywatelu — rzekł do mło-dzieńca, opiekującego się sprzętem wojskowym. — Tylko jeszcze stolik i krzesło. O, tam. Wybor-nie!

Osadził młodzieńca i kazał składać rzeczy. Osobno mundury, osobno karabiny, ładownice i buty.

Zaimprovizowawszy w ten sposób prymityw intendenty, wrócił do wielkiego pokoju. Na środ-ku stał jakiś młody człowiek w bluzie wojskowej z palającemi policzkami i miotał się, wykrzyku-jąc:

— Obywatele! Civilverwaltung! Niemcy palą dokumenty! Trzeba przeszkodzić!

— Nie hałasujcie, obywatelu, — zwrócił się do niego Rymśza. — Civilverwaltung, mówicie? Na placu Saskim? Bardzo słusznie. Zaraz. Ważna rzecz.

W tej chwili wynurzył się Żabiński.

— Obywatelu Rymśza — chodźcie-no. Muszę was pokazać obywatelce Stefanji.

— Któż to taki?

— Wspaniała niewiasta. Wywiadowka z Pierw-szej Brygady. Teraz prowadzi ewidencję naszych. Przez nią można się dostać do Komendanta P.O.W., to jest do zastępcy, bo Komendant wyjechał.

— Chodźmy — zgodził się Rymśza. — Zaraz wrócę — rzekł do podnieconego młodzieńca.

W pokoju za „intendenturą“ siedziała przy stole kobieta lat około trzydziestu. Rymśza spojrzął na nią i w tej chwili poraziło go uczucie zachwy-tu, jakiego nigdy nie doznał, a jednocześnie prze-niknął go okrutny niepokój. Właśnie rozmawiała półgłosem z młodziutkim człowiekiem, białym i różowym jak panna.

— Ten zrobił Schultzego — wskazał Żabiński.

— Kto?! — zdumiał się Rymśza.

— Ten... on z „Pogotowia Bojowego P.P.S.“ ale my z nimi trzymamy sztafę.

— Brak ludzi — dosłyszał Rymśza słowa po-wiedziane przez ową Stefanję do rewolucjonisty o twarzy dziewczęcej. — Musicie sami, ze swoimi... — leciał szepł.

Rewolucjonista o dziecięco naiwnych oczach kiwnął głową na znak zgody.

Ale całą uwagę Rymśzy pochłonęła osoba Ste-fanji. Jej duże, niebieskie, zinnne oczy na wyblądłej twarzy świeciły białym, mocnym blaskiem. Jej włosy czarne zdały się wzniecać burze wiosen-ne, nasuwały obrazy przewalania się wichrów wśród borów i skał. Biła z niej energia, a zara-zem świeżość i jakaś pierwotna, samowładna siła ślicznie związana w kształty kobiece. Uśmiech iro-niczny, wyniosły a ciepły wykwił na jej ustach, niby róża nabrzmiała ognistą czerwienią. Naraz opanowała go myśl obłąkana, aby paść tu przed tą nieznaną na kolana i złożyć głowę w poddań-stwie niewolniczem, a potem skonać. W myślach zaigrały jakie marzenia rozkielznane i błędne, ja-kieś chcenia wrzące i rzewne, pod powieki jęły się cisnąć lzy piekące, a spazmy pełne rozkoszy i goryczy przelatywały przez piersi jak płomienie.

Stał tak zaczarowany, chociaż ów młody re-wolucjonista opuścił już pokój, aż doczekał się tej chwili, kiedy Stefanja, zanotowawszy coś, zagadnę-ła go spojrzeniem. Wtedy Rymśza dał się porwać szaleństwu i powiedział sobie: „Teraz muszę ją przekonać. Od tej chwili zależy wszystko“. Ale nie odzywał się, tylko patrzył, wlewając w spojrze-nie świadomość co dopiero przeżytego olśnienia. Uderzyły weń dwa światła oczu Stefanji i odbiły się. Znowu wróciły i zderzyły się ponownie, bijąc raz po raz i przygasając w ogniu wzroku Rymśzy, aż zemdlone i osłabłe padły zmieszane i zmacone, a na jej policzki wypłynął rumieniec.